Nr. 1. Lwów w styczniu 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

PRZYKRE KONIECZNOŚCI.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Zapewne najsłuszniejszem w świecie jest wypowiedzenie jednego z naszych wytrawnych znawców myśliwstwa krajowego, że przedewszystkiem, aby o kuropatwach coś mówić, trzeba je posiadać. My ich jeszcze nie posiadamy, mówiąc w ogólności, nie odgrywa to szlachetne myśliwstwo jeszcze żadnej roli w ekonomicznem znaczeniu, a te luźne zdobycze, jakiemi się możemy powstydzić udowadniają tylko, że ród ten jeszcze do zatraconych nie należy. W takim stanie rzeczy nie mogąc na razie jeszcze mówić o kuropatwach, pragnę zwrócić uwagę na jedną okoliczność, której pominięcie stawia w wątpliwość udanie się wszelkich, choćby jakich zamiarów w celu posiadania tego szlachetnego zwierzostanu, nawet w skromnej mierze.

Ot, nie tracąc wiele słów powiem, jak Jacek Soplica „przed tą ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci“, oczyścić dom powtarzam, oczyścić dom ..... i zachęcam każdego do tej ważnej sprawy, pomimo, że cała procedura, o której mówić zamierzam, jest *malum necessarium* i wcale niesympatyczną operacyą dla myśliwego. *Uni sono* dają się od długiego już czasu słyszeć głosy o konieczności tępienia drapieżnej zgrai, która stanowi bardzo ważną zaporę w postępie naszego łowiectwa, a głównie łowiectwa, które stanowi ważną podstawę ekonomicznej tegoż doniosłości, i pomimo zachwycającej zgody w tym przedmiocie, drapieżników u nas mnóstwo, co dalszy postęp i rozmnożę zwierzostanów utrzymuje w pewnych skromnych granicach, nie odpowiadających innym danym od natury warunkom, a już wcale niemożliwą czyni jakąkolwiek hodowlę ptactwa

polnego i leśnego, kuropatw i kniejołków. Niezaprzeczenie zatem środki używane dotychczas celem poskromienia tej zmory są i niedostateczne i nieracyonalne, a w dodatku tylko wyjątkowo stosowane stawiają dbałego o swój zwierzostan myśliwego w nader przykrej sytuacyi. Po długiej, uporczywej i kosztownej walce z drapieżnikiem nie widzi on odpowiednich skutków i w chwili, kiedy już czuje się bezpiecznym, jak „deus ex machina“ wpada wróg wychowany niedbalstwem sąsiada, niszczy owoce długoletnich starań i wywołuje zniechęcenie i wszelką pracę w przyszłości podkopuje. W wielu okolicach, dzięki niezliczonej zgraji drapieżników, bujających w powietrzu i chodzących po ziemi, chów drobiu jest niemożebny. Wśród sadyb ludzkich umieją one w sposób nader przebiegły wybierać haracz dla siebie, a cóż się tam dzieje wśród lasów i pól, gdzie bez żenady wre nierówna walka o każdej dnia porze. Jeżeli przeto nasze zamiary postępowe nie mają doznać zawodu, walka z drapieżnikami musi być ogólną, prowadzoną na całej linii, sposobem radykalnym i nie drogim, trzeba wymieść to prawdziwe śmiecie pod dewizą: cel uświęca środki i chwycić się środków, potępionych może przez wygórowany sentymentalizm, ale uznanych przez praktykę krajów, które nas daleko pod tym względem wyprzedziły. Najpotężniejszym środkiem tego rodzaju jest strychnina w umiejętnem użyciu — wobec niej wszystkie inne sposoby tępienia drapieżników są albo sportem, albo bardzo kosztowną zabawką, nie mogącą doprowadzić do celu, pod względem zaś humanizmu, jeżeli o takim można mówić traktując o tępieniu istot żyjących, wcale wyżej nie stoją.

Użycie preparatów strychninowych w celu tępienia drapieżników należy u nas dotąd do rzeczy bardzo wyjątkowych, a już bardzo rzadko gdzie stosowanym bywa ten środek w sposób racyonalny. Wśród długoletniej praktyki zawodowej spotykałem się z najrozmaitszymi zwyczajami w tym kierunku, niestety nazbyt często za najważniejszą część w tej operacyi uważano najrozmaitsze tajemnice przygotowania trutki i tak zwanego witerunku (ponęty), do pierwszorzędnej wagi podnoszono dodatki najróżnorodniejszej perfumeryi, sposoby przygotowania powłoki, zaciągania tejże i wreszcie mnóstwo innych drobnostek, od których rzekomo zależeć miało powodzenie. — Oczywiście, że najpożądańszym preparatem była strychnina czysta, po niej spodziewano się najszybszych skutków, podczas gdy strychnina t. z. czysta, jako alkoloid bardzo słabo w wodzie rozpuszczalny, nie mogła działać szybko, i zwierz albo uchodził daleko i przepadał, albo wymiotował cały przysmak, zanim asymilacya i działanie nastąpić mogły. Całkiem naturalnie, że po takich doświadczeniach cały gmin zwrócił się przeciw droguerzyście, u którego strychnine nabyto, tymczasem ten niczem nie zawinił, a wszystkiemu winną była owa czysta strychnina, której żądano. Otóż z tej strychniny, zwanej *Strychninum purum*, rozpuszcza się znikająco mała część w wodzie, bo w 100 częściach o 15° Celsiusa tylko 0.014 części, podczas gdy z innych preparatów, czyli tak zwanych soli strychninowych rozpuszczają się w wodzie bardzo znaczne ilości i tak: w 100 częściach wody rozpuszcza się 5 części octanu strychniny, 5 części chlorku, 1 część azotanu i 1·6 części siarkanu strychniny. Z tego widzimy, że rozpuszczalność azotanu strychniny przewyższa 70 razy, siarkanu o przeszło 100, a innych połączeń o 350 razy rozpuszczalność strychniny czystej. Z tych wszystkich połączeń rozmaitej rozpuszczalności farmakopea austryacka przyjęła azotan strychniny (*Strychninum nitricum*) pomimo, że jest on o wiele mniej rozpuszczalny, jak inne sole strychninowe, a to z przyczyny, że połączenie to odznacza się stałością i nie ulega zwietrzeniu i przemianom chemicznym, podobnie jak octan i siarkan. Co się tyczy dozy, to wystarcza 0·10—0·15 grm., koniecznym jest jednak warunkiem, aby preparat użyty był w stanie jak najdokładniejszego sproszkowania i ażeby już w takim stanie przychodził do rąk myśliwego, który w ogólności nie powinien ze strychniną podejmować jakichkolwiek czynności przygotowawczych, jak naprzykład tarcia kryształków, gdyż do tego nie nadaje się zwykłe mieszkanie — nawet przy zachowaniu wszelkich ostrożności.

Wszystkie preparaty strychninowe posiadają przejmujący smak gorzki, który daje się odczuwać nawet przy najsubtelniejszem rozpyleniu strychniny podczas proszkowania, smak ten niezawodnie odstręcza do pewnego stopnia zwierza od pochwycenia zaprawionej strychniną trutki, ztąd zagranicą fabrykują już gotowe do użycia kapsułki żelatynowe ze strychniną i sprzedają je po stosunkowo wysokich cenach.

Z mej własnej praktyki nie mogę zbyt wiele powiedzieć o przebiorczości naszych drapieżników, używałem strychniny w sposób najprostszy, bez żadnego zamaskowania smaku, a skutki były świetne i doraźne i bardzo rzadko trafił się jakiś wybredny smakosz, którego odstręczyła gorycz preparatu. I tak n. p. kawałki mięsa nadziane w środku strychniną lub kawały skrzepłej krwi bydlęcej zadanej z odpowiednią ilością trutki, sprawiały straszny skutek, osobliwie kawałki skrzepłej krwi porywały jastrzębie, kruki, wrony z łakomstwem nie do opisania i spadały w kilka sekund po pożarciu, jakby piorunem rażone.

Preparowanie powłoki w sposób jak to mnie uczyli starzy myśliwi, wstrętne operacye z owym kotem (koniecznie), którego po zakopaniu w nawozie, przypiekano na rożenku i następnie nadziewano i skrapiano jeszcze rozmaitą, częstokroć nimbem tajemniczości otoczoną perfumeryą, uważam za przesąd dawnych czasów, a to dlatego że przekonałem się, iż byle jaki kawał mięsa, patrosze z zająca lub sarny zupełnie tę samą robią usługę, a uwalnia to myśliwego od prawdziwie obrzydliwej operacyi, ba nawet kawał kija posmarowany trochę piżmem lub masłem zarobionem z balsamem apoplestycznym może jako powłoka służyć doskonale w tym samym celu.

Niedawno temu wyszedłem po zachodzie słońca na zasiadkę; potrzeba mi było koniecznie zająca. Stałem już długo pod krzaczystą jodełką u brzegu lasu, gdzie przypierało okopane rowem grzebowisko bydlęce, ale napróżno; zając nie chciał wyjść. Kilka jastrzębi przeleciało nademną wracając z pól na nocleg do lasu, zakrakały gdzieś w oddali wrony — wreszcie mrok padał coraz gęstszy. W tem z rowu cmentarzyska wyskoczył tchórz, a równocześnie z jaru wydyndał naprzód jeden mykieta, za nim pociągnął drugi, majaczejąc w polu po za donioślością strzału. Gdy tak z biciem serca obserwowałem ruchy trzech drapieżników, zaszeleściał liść suchy tuż za mną i w oddali około 20 kroków ukazał się na kraju lasu na płatku białym śniegu 3-ci mykieta. Widocznie zwęszył on już moją obecność bo przez chwilę wpatrywał się uparcie w zamaskowaną moją pozycyę. Oczywiście wyszło mu to na złe bo i moja dwururka korzystała z odpowiedniej chwili, a ciekawy mykieta przepłacił skórą ciekawość. Podobnej treści epizod nie jest bynajmniej czemś rzadkim w naszych kniejach, na zasiadkach szczególniej, można podpa-

trzeć zgubną przewagę drapieżników, bo w sposobach innych łowiectwa, a szczególniej przed ogólnie używaną u nas nagonką, ostrożniejszy zwierz drapieżny po wielkiej części usuwa się oku, jakkolwiek i wobec tego stosunek widzianych lub ubitych drapieżników na naszych polowaniach jest jeszcze zawsze monstrualny w porównania do rozkładu zwierzyny użytecznej.

Jak niegdyś sława wojenna Miltiada odbierała sen Temistoklesowi -- tak zuchwałość bezczelna moich lisiurów, tchórzów, kun i t. p. nie dała mi spokoju przemyśliwałem więc nad ich pogromem, pomimo że pole krase nie wiele rokowało nadziei powodzenia. Przypadek przyśpieszył wykonanie planu. Jednemu bykowi w oborze zrobiło się jakoś niedobrze — puszczono mu ze trzy litry krwi — której użyłem jako medium i zaprawiwszy ją strychniną, w stanie skrzepłym porozrzucałem kawałki jej na szlaku powłoki. Na drugi dzień nie mogłem odszukać już ani śladu — ani jednego kawałeczka skrzepu, wszystko było pożarte, jednego lisa odszukałem, a raczej dojrzałem leżącego o 35 kroków od szlaku, drugiego znalazłem po dłuższem szukaniu w debrze o 120 kroków, a oprócz tego przyniósł mi leśny na trzeci dzień jeszcze kunę żółtoszyjkę. Mogłem być dumnym z mego połowu, zwłaszcza, że można się było śmiało domyśleć, że podjęta zdobycz była prawdopodobnie tylko próbką zniszczenia, jaką wyrządziłem w szeregach drapieżników, cząstką, którą się udało odnaleźć tylko przypadkiem w braku wszelkich tropów na przetratowanej i zlodowaciałej stopie. Jest rzeczą łatwo zrozumiałą, że czem większy rejon obciągnięto powłoką tem jest lepiej, w szczególności jednak muszą być powłoką skrzyżowane najulubieńsze przesmyki zwierza. Jakiegokolwiek medium użyje się do zadania strychniny, powinne być pojedyńcze porcye dokładnie i nie za słabo dozowane i osadzone na szlaku powłoki nie za gęsto, nie gęściej, jak co sto kroków, w przeciwnym bowiem razie zwierz albo ujdzie daleko i często przepadnie, albo pożre niepotrzebnie kilka porcyi. Częstokroć dostrzedz można przy zupełnie jednakim dozowaniu porcyi rozmaity skutek u jednego i tego samego gatunku zwierza. Raz pada on niby paraliżem rażony tuż przy szlaku, co doskonale obserwować można na dobrej, białej stopie, innym znów razem po pożarciu wykonywuje różne zwroty, wreszcie tropi gęstwiną i pada bardzo daleko, tak że przy cokolwiek niekorzystnem do tropienia polu, przepaść może zupełnie. Objaw ten przypisać należy nietyle indywidualnej, organicznej odporności, ile chwilowemu stanowi przewodu pokarmowego. Drapieżnik wracający już po dobrej uczcie do lasu z wypełnionym żołądkiem ulega zazwyczaj trudniej, pomimo pożarcia jednakiej dozy strychniny, jak zwierz głodny, niemniej działa szybciej trutka świeżo rozrzucona jak zamarzła, ztąd też jest pewna racya w używaniu mediów takich, które zmarznięciu nie podlegają, z drugiej jednak strony ma to i swą niedogodność, bo takie recypienty strychniny jak n. p. orzechy, makaron włoski, lak i t. p. nie przez wszystkie drapieżniki będą podjęte, natomiast zaś mogą być pożarte przez inne zwierzęta nieszkodliwe.

Jeżeli zależy tylko na tępieniu drapieżców czworonożnych, powodujących się wiatrem, to trutka powinna być rozrzucona o ile możności w miejscach osłoniętych, aby jej dojrzeć nie mogły ptaki, gdyż na odsłoniu i na białej stopie pochwycą ją wnet wrony, jastrzębie, sowy, powodujące się wzrokiem i albo nic, albo bardzo mało co pozostawią dla czworonożnej gawiedzi. — W bliskości osad, lub wewnątrz zagród, niema częstokroć innej rady, aby radykalnie pozbyć się drapieżników, jak użycie strychniny. Tchórze, kuny, lisy wyprawiają tam takie brewerje pomiędzy drobiem, że ta *ultima ratio* jest częstokroć wskazaną. W takich wypadkach jednak podwoić trzeba ostrożność w całej akcyi, urządzić ścisłą karmę całej menażeryi domowej i po rozrzuceniu pozbierać na drugi dzień wszelką pozostałą, a przedtem policzoną trutkę, nie zdając się w tem na nikogo, kto niema jasnego pojęcia z czem ma do czynienia.

Niemiły ten, bo strasznie trujący artykuł uważam jako rzecz przykrego obowiązku wobec budzących się dalszych myśli postępowych na polu naszego łowiectwa. Oby straszne ostrze tej broni, którą pozwoliłem sobie może za rozwlekle omówić, ochroniła nasze zwierzostany przed paszczą drapieżników, abyśmy *sub umbra alarum* rozumnej ochrony i opieki w szybkiem tempie przebiegliśmy i na tem polu tę daleką drogę, o którą nas inne kraje i społeczeństwa wyprzedziły.

Kotowania, 1 stycznia 1898.

Kilka uwag o rozmnoży kuropatw i bażantów.

Pessymizm stał się już charakterystyczną cechą naszych czasów. Nie można zaprzeczyć, że patrzenie na świat przez szkła zbyt różowe bardzo bywa szkodliwem i niebezpiecznem, ale mniej ono może jest szkodliwem od tego objawiającego się coraz bardziej pessymizmu, który prowadzi wreszcie do zniechęcenia, zwątpienia i apatyi, tak, że opadają nam nakoniec bezczynnie ręce, które właśnie wzniesśby się powinny do pracy i do walki z przeciwnościami. Nasuwają mi tę myśl nieustanie pojawiające się w *„Łowcu“* korespondencye, pełne owego pessymizmu i ustawicznych narzekań na stosunki łowieckie w kraju, na brak opieki u władz, na nieprzestrzeganie ustawy, na złych sąsiadów, na kłusowników i na opieszałość w tępieniu szkodników. Wszystko to jest prawdą — nie przeczę — ale prawdą zanadto dobrze znaną — do przesyta już powtarzaną — tak, że robi wrażenie znanej francuskiej poezyi: *„Les vérités de Monsieur La Palisse“*. Ale czyż samo narzekanie na to wszystko pomoże? Zamiast tego lepiejby było pewnie, zająć się raz energicznie tą sprawą — i czynem złe naprawiać. — Jak największym szkodnikiem lasów naszych nie jest z pewnością ani kornik, ani mniszka, ani sarna ogryzająca sadzonki — ale zły leśniczy, tak i w myśliwstwie, głównymi wrogami nie są tak kłusownicy i drapieżniki — jak zły i niedbały właściciel łowieckiego obszaru.

Nawiązuję tu rzecz znowu do zaprojektowanej hodowli sprowadzić się mających kuropatw i bażantów. Tego rodzaju akcya na większe rozmiary podjęta w całym kraju, byłaby czynem dodatnim, pożyteczniejszym od głuchych narzekań, których nasłuchaliśmy się już do przesytu, a które do niczego nie prowadzą. — Oczekujemy w tym względzie z niecierpliwością, obiecanej nam opieki Wydziału Towarzystwa Łowieckiego. — Słyszałem, że dotąd z Czech nadejść miały same hiobowe wieści, iż w tym roku kuropatwy tak tam nie dopisały, że na sprzedaż mają ich bar-

dzo mało. Czyżby falangi Schoenererów, Wolfów, Bernerów et consortes, biednym Czechom nawet kuropatwy zrabować miały? — W takim razie pozostaje przecież jeszcze Szląsk, Morawy, Węgry, Wielkopolska i Królestwo — tam dla Wydziału Towarzystwa łowieckiego otwarte pole — a my — odbiorcy — z bijącem sercem oczekiwać będziemy na wiosnę pomyślnego rezultatu. — Nie powinna nikogo odstraszać obawa przed złymi sąsiadami, przed ewentualną wędrówką sprowadzonego ptactwa, lub przed szkodnikami. Byłoby to tak, jak gdyby gospodarz nie zasiewał swojej roli z obawy gradu lub nieurodzaju. — Pomnijmy bowiem, że te wszystkie warunki istnieją mniej więcej wszędzie, a przecież stan zwierzyny świetnym jest w wielu okolicach — tam, gdzie tylko właściciel dba o zwierzostan i jest hodowcą praktycznym. Wątpić nie można, że zaprowadzenie hodowli kuropatw, czy dzikich bażantów, stanie się pobudką do lepszej ochrony i do tępienia drapieżników, dla każdego właściciela myśliwskiego obszaru, który się na tę niewielką stosunkowo ofiarę zdobędzie. — Że nasza ustawa łowiecka, choć w wielu względach jeszcze wadliwa, niezmiernie stan zwierzyny w całym kraju podniosła, temu zaprzeczać nie można. Blisko pół wieku patrząc na myśliwstwo w naszym kraju — najlepiej widzę teraz ten rozwój, zwłaszcza w ostatnich czasach. W młodych latach moich, uganiając po naszych Karpatach, pamiętam, jaką jeleń tam był rzadkością. — Wszyscy leśniczowie z psiarnią ścigali każdego jelenia, który się z Węgier do ich rewiru zabłąkał — a dla łań też nie było ochrony. — A dziś, jakże to olbrzymia różnica! W tym roku w samem Jasieniu i Perehińsku zastrzelono przeszło 30 jeleni na rykowisku — a góry nasze są pełne tego szlachetnego zwierza, niedawno jeszcze grożącego zagubą. O sarnie na Podolu nikt dawniej nie słyszał — a dziś widzimy już tam tak bogate zwierzostany. To samo powiedzieć można i o zającach, gdyż w kniejach, w których za moich lat młodych, uważaliśmy kilka ubitych zajęcy przed gończymi psami, za świetny wynik łowów, teraz tam na setki padają szaraki. A cóż powiedzieć o wyniszczonych podówczas prawie doszczętnie cietrzewiach i głuszcach? Ustawa, zabraniając strzelania kur głuszców i cietrzewi, ten szlachetny ród przed zagładą ochroniła — i co rok on się teraz powiększa. — Wobec tych niezaprzeczonych faktów, czyżby nie powinni nasi pesymiści otrzeć już łzę z oka i narzekania zaprzestać? — A dla czegożby w przyszłości tak samo stać się tu nie mogło z kuropatwami i bażantami? Tępienie szkodników powinno być bez wątpienia głównem naszem zadaniem, ale ich istnienie w kraju nie powinno nas zniechęcać, od hodowli odstraszać i do apatyi upoważniać. Schiller powiedział: „*Raum für Alle hat die Erde*“, przy staraniu naszem pilnem, znajdzie się pewnie coś dla drapieżników, ale zawsze coś i dla nas pozostanie.

Przekonałem się o tem, jak najdobitniej na Wschodzie, gdzie chwili nie ma, ażeby myśliwy na swoim widnokręgu nie widział najmniej kilkadziesiąt jastrzębi, orłów i sępów, a stada wilków, szakali, ichnajmonów i najrozmaitszego drapieżnego zwierza, snują się wszędzie, a przecież roi się tam czasem od kuropatw, frankolinów, zajęcy i antylop. — W cennem piśmie niemieckiem „*Waidmansheil*“ ciekawą w tym względzie spotkałem korespodencyę z Hanowerskiego, gdzie hodowlą racyonalną do imponujących rozmiarów doprowadzono już zwierzostan, pomimo tego, iż tępienie szkodników jest tam wprost niemożliwem — a ma ich tam być bardzo wiele. Lud bowiem tamtejszy uważa lisy, jastrzębie, sroki, wrony za bardzo dla ochrony ziemiopłodów pożyteczne istoty, dla tępienia myszy i szkodliwych owadów. Żaden myśliwy dzierżawiący tam gminne polowania, nie odważy się wojny wydawać tym dobroczyńcom gospodarstwa, bo wie, żeby mu już gmina na przyszłość za żadną cenę polowania nie wydzierżawiła. Bardzo licznie rozmnożone tam króliki, myśliwi na pastwę lisom oddają i tak w części ochraniają swoje bażanty i kuropatwy. Zwrócić jeszcze pragnę uwagę szanownych czytelników „*Łowca*“ na umieszczone w tem samem czasopiśmie ciekawe artykuły p. Nitschego, traktujące o sposobie zaprowadzenia dzikich bażantów w każdym rewirze. Rezultaty okazały się zdumiewające, nawet w krajach głęboko na północy położonych, czego wiarogodne świadectwa są dołączone. — Z prawdziwie germańską akuratnością i ścisłością podaje p. Nitsche wszystkie swoje rady i wskazówki. Rzadko się zdarza spotkać tak wyczerpującą pracę. I w naszym kraju widziałem już bardzo pomyślne wyniki tych jego wskazówek. W zimie sprowadzone bażanty, wypuszczane w nocy do rewiru, w którym zastają podrzuconą karmę, najpewniej się udają.

Podkamień w grudniu.

Leopold hr. Starzeński.



Wśród ciszy letniej.

STATUT i REGULAMIN
dla Towarzystw i Spółek myśliwskich.

Czyniąc zadość życzeniu z wielu stron wyrażonemu, podajemy tu zarys statutu i regulaminu dla Towarzystw i Spółek myśliwskich, wzorowany na statutach tych Towarzystw, które, o ile to Wydziałowi Towarzystwa łowieckiego wiadomo, jak najlepiej się rozwijają i zadanie swoje ku pożytkowi krajowego łowiectwa i własnej przyjemności spełniają.

STATUT

Towarzystwa myśliwskiego imienia . . . . . w . . . . ,

I. Nazwa, siedziba i cel Towarzystwa.

§. 1. Towarzystwo ma nazwę . . . . w . . . .

§. 2. Siedzibą Towarzystwa jest . . . .

§. 3. Celem i zadaniem Towarzystwa jest pielęgnowanie wspólnemi siłami prawidłowego myśliwstwa, czuwanie nad przestrzeganiem ustaw łowieckich, zapobieganie kłusownictwu, podniesienie i pielęgnowanie zwierzostanu na obszarach, zadzierżawionych przez Towarzystwo.

II. Członkowie, ich prawa i obowiązki.

§. 4. Członkiem Towarzystwa może zostać każdy myśliwy, zamieszkały w . . . . lub najbliższej okolicy, który używa praw obywatelskich w kraju, jest nieposzlakowanej czci, a jeżeli pragnie brać udział w polowaniach, ma wprawę w obchodzeniu się z bronią myśliwską i obznajomiony jest praktycznie z zasadami łowieckiemi.

§. 5 Członek ma prawo

a) brać udział w polowaniach gremialnych, jeżeli posiada warunki w §. 4. al. 1. wymienione.

b) polować pojedyńczo na obszarach, wyznaczonych na ten cel przez Wydział

c) ma prawo do zwierzyny przez siebie zabitej (za o p ł a t ą t a k s y p r z e z W y d z i a ł o z n a c z o n e j.

d) ma prawo zaprosić jednego gościa na polowania zbiorowe, o czem jednak należy wcześnie Wydział zawiadomić.

e) ma prawo brania udziału w walnem zgromadzeniu, a mianowicie prawo zabierania głosu, czynienia wniosków, głosowania, wyboru i obieralności, a to zarówno osobiście jak i przez pełnomocnika z grona członków Towarzystwa, pisemnie do tego upoważnionego.

§. 6. Członek jest obowiązany:

A) uiszczać:

a) wpisowe przy wstąpieniu w kwocie . . . .

b) wkładki (miesięczne, roczne lub udziały wynikające z repartycyi kosztów etc.)

B) wypełniać bezwzględnie przepisy statutów i regulaminów, tudzież wszelkie uchwały Walnego Zgromadzenia i zarządzeń Wydziału — w końcu

C) jak najsilniej popierać cele Towarzystwa.

§. 7. Każdemu członkowi wolno jest wystąpić, jednak nie przed upływem roku, licząc od dnia przystąpienia do Towarzystwa. Wystąpienie wcześniejsze nastąpić może w wypadku zmiany stałej siedziby i przeniesienia do innego powiatu. Za występującego będzie uważany ten z członków, który wypisania zażąda lub nie zapłaci w oznaczonym terminie przypadających na niego wkładek i należytości.

§. 8. Walne Zgromadzenie ma prawo na wniosek Wydziału lub na żądanie jednej czwartej części członków należących do Towarzystwa, wykluczyć członka z Towarzystwa. Stać się to może za niedopełnienie obowiązków lub nadużycia praw członka, za niestosowanie się do uchwał Zgromadzenia i zarządzeń wydziału z powodu utraty czci, wreszcie z powodu czynu, przynoszącego ujmę dobru lub powadze Towarzystwa.

Wydział jest obowiązany zasuspendować członka, który zdaniem jego zasłużył na wykluczenie, zawiadomić go o tem pisemnie i zwołać do dni 14 Walne Zgromadzenie, na którem sprawę wykluczenia ma przedłożyć.

III. Majątek Towarzystwa.

§. 9. Majątek Towarzystwa składa się z funduszu rezerwowego, który składa się z kaucyi, składanych za dzierżawy prawa polowań, z wpisowego i z funduszu obrotowego, składającego się z wkładek i innych bieżących wpływów. Fundusz obrotowy służy do pokrycia wszelkich wydatków administracyjnych, bieżących.

IV. Zarząd Towarzystwa.

§. 10. Sprawami Towarzystwa zarządza:

a) Walne Zgromadzenie,

b) Wydział.

a) Walne Zgromadzenie.

§. 11. Zwyczajne Walne Zgromadzenie zwołuje Wydział raz do roku, w miesiącu . . . . Prócz tego może być zwołane nadzwyczajne zgromadzenie w razie potrzeby lub w razie żądania połowy członków Towarzystwa, w . . . . zamieszkałych.

§. 12. Do zakresu czynności Walnego Zgromadzenia należy:

a) wybór prezesa, jego zastępcy, sekretarza i skarbnika na rok jeden.

b) zmiana statutu,

e) postanowienia co do wysokości wkładek i wpisowego,

d) orzekanie w sprawie wykluczenia członka,

c) dyskusya nad wnioskami członków — w końcu

f) sprawa rozwiązania Towarzystwa.

Do ważności uchwał Walnego Zgromadzenia potrzebną jest obecność połowy (trzech czwartych) członków Towarzystwa.

Gdyby zwołane zgromadzenie nie zebrało się w wymaganym komplecie, w takim razie ponownie zwołane zgromadzenie może powziąć prawomocną uchwałę bez względu na liczbę obecnych członków. Uchwały Walnego Zgromadzenia zapadają zwykle większością głosów. Do uchwalenia rozwiązania Towarzystwa potrzeba większości trzech czwartych głosów obecnych członków.

b) Wydział Towarzystwa.

§. 13. Wydział Towarzystwa składa się z prezesa, jego zastępcy, sekretarza i skarbnika, którzy zarazem stanowią Biuro Towarzystwa.

§. 14. Wydział reprezentuje Towarzystwo na zewnątrz, zarządza bieżącemi sprawami i funduszami Towarzystwa wogóle, przedstawia Walnemu Zgromadzeniu kandydatów na członków, wnosi sprawę wykluczenia członka, wydaje regulamin dla członków Towarzystwa, ustanawia w nim grzywny za uchybienia regulaminowe, załatwia życzenia i zażalenia członków, rozstrzyga w sprawach o dzierżawy, zwołuje Walne Zgromadzenie, zdaje sprawę z czynności, przedkłada Walnemu Zgromadzeniu rachunki z funduszów Towarzystwa, czuwa nad wykonaniem uchwał Walnego Zgromadzenia i swoich zarządzeń, spisuje protokół swoich posiedzeń i obrad Walnego Zgromadzenia.

§. 15. Posiedzenia Wydziału odbywają się, ilekroć zachodzi ich potrzeba, lub na wezwanie prezesa, względnie jego zastępcy. Do ważności uchwał Wydziału potrzebna jest obecność przynajmniej trzech członków. Uchwały zapadają zwykłą większością głosów — w razie potrzeby rozstrzyga przewodniczący.

V. O rozstrzyganiu sporów.

§. 16. Spory między członkami Towarzystwa rozstrzyga sąd polubowny, złożony z dwóch sędziów, z grona członków Towarzystwa przez strony wybranych, którzy wybierają sobie rozjemcę. Gdyby strona w oznaczonym terminie nie

wybrała sobie sędziego, mianuje go Wydział. Między dwoma kandydatami na rozjemcę, rozstrzyga los. Od orzeczenia sądu polubownego niema odwołania. Czynność sędziego jest obowiązkiem, od którego uchylić się nie można.

VI. O rozwiązaniu Towarzystwa.

§. 17. O rozwiązaniu Towarzystwa postanawia Walne Zgromadzenie jak §. 12. W razie rozwiązania Towarzystwa majątek jego, o ile nie są nim koncesye na dzierżawę polowań złożone, przechodzi na . . . .

VII. Postanowienia ogólne.

§. 18 Statut ten stwierdza przystępujący członek własnoręcznym podpisem i tem samem przyjmuje na siebie zobowiązania tym statutem objęte.

(C. d. n).



Najświetniejszy łów.

(Z niemieckiego).

Gdy strzelec w kniei spotka dziewczę hoże,
W duszy miłosny wnet mu zabrzmi chór.
O rajskiem życiu śmiało marzyć może,
Bo tajemnicy tu nie zdradzi bór.
Złowić całusa z tej buzi rumianej,
To czar, na który nie wystarczy słów,
Lecz serce złowić swojej ukochanej,
To jest dla łowca najświetniejszy łów.

L. Starzeński.

STARY DZIK.

Pan Piotr przeczytał list i zmiął go nie bez gniewu.

Książę Mikołaj zapraszał go na polowanie. Obłożono niedźwiedzia.

— Ten sam — dodawał książę w zaproszeniu — który tyle nabroił podczas lata.

Ten dodatek psuł całą przyjemność.

Książę był sąsiadem pana Piotra. Posiadłość jego znajdowała się o milę drogi od wioski pana Piotra. Dziadowie ich i ojcowie przyjaźnili się serdecznie. Wychowali się razem. Razem nawet walczyli w jednym szeregu obok siebie, a każdy z nich na polu ciężkiej i rozpaczliwej walki zdobył szlify oficerskie.

Ale było to dawno... bardzo dawno..

Od tej pory zmieniło się wiele rzeczy.. Wielkie wydarzenia rozłączyły przyjaciół i wrogów, przykuły jednych do drugich i książę z panem Piotrem poszli w świat różnemi drogami.

Na pozór stosunki między nimi pozostały te same. Po dawnemu mówili sobie jeszcze „ty,“ ale byli sobie już obcymi. Książę był dla pana Piotra zawsze pełen szacunku i uprzejmości.. od dzieciństwa przywykł bać się trochę pana Piotra i nie mógł się w żaden sposób pozbyć tego uczucia.

Wszystko to jednak nie łagodziło stosunku. Za każdym razem, gdy wybierano marszałka szlachty, pan Piotr dawał księciu czarną gałkę, nie ukrywając się z tem bynajmniej.

Pan Piotr był wyznawcą wolności, równości i braterstwa, ale nie mógł zrozumieć, że jego Maciek i Bartek są wolnymi obywatelami... Rozumiał on postęp... ale książę Mikołaj liberałem?

Pan Piotr wzruszał ramionami.

— Albo jedno albo drugie: albo marszałek szlachty, albo kapucyn! — mawiał i kładł czarną gałkę.

Książę mimo to był wybierany zawsze.

— Nowe czasy, nowe zasady, nowe wymagania!... Po ich stronie siła... Życie stoi przed nimi... Zwyciężyłeś, Galileuszu!... Ale jeżeli książę ma ochotę postępować w ten sposób, ja mu już przyjacielem być nie mogę... Stary dzik — pan Piotr wiedział, że na dziesięć mil wokoło nikt go inaczej nie nazywa — ma zanadto stare kości, aby mógł je zginać w kabłąk... Czas mi już odchodzić z tego świata... ale nie widzę potrzeby, aby czapka błazeńska miała się dotknąć moich siwych skroni.

Takimi były stosunki dawnych towarzyszów zabaw dziecięcych i kolegów broni. Złożyły się one w ten sposób oddawna i obydwaj już się do nich przyzwyczaili. W dni uroczyste odwiedzali się wzajemnie, należy jednak powiedzieć, że te wizyty ani jednemu ani drugiemu nie przynosiły zbytniego zadowolenia.

Polowanie na niedźwiedzia, naturalnie, godnem było czyichś imienin i byłoby dziwnem, gdyby książę nie był na nie zaprosił pana Piotra, albo też, żeby pan Piotr nie przyjął zaproszenia.

Ale pan Piotr znał obławy książęce. Książę był namiętnym myśliwym, mimo to obiad, którym kończyły się zwykle polowania u niego, frasował go więcej, niż w istocie należało. Jedynie dla tego obiadu zjeżdżało się narodu



W KNIEI.

więcej, niż potrzeba, między innemi naturalnie znajdowały się takie osobistości, których sama powierzchowność wprawiała pana Piotra w gniew i drażniła go.

Wszystkim zaproponują losowanie stanowisk i jakiś hołysz, drżący przytem ze strachu na samo wspomnienie o niedźwiedziu, stanie gdzieś obok niego.

A tymczasem był to ten sam niedźwiedź, który nabroił tyle podczas lata!

— Hej! Jest tam kto?! — krzyknął pan Piotr głosem, który nie obiecywał nic dobrego dla Maćków i Bartków.

Na progu wyrosła figurka kozaczka. Pojawił się tak samo, w takiej samej pozie, w jakiej pojawiali się kozaczki na tem samem miejscu już niejeden dziesiątek lat.

— Sikorkę!

Zjawisko znikło.

Pan Piotr przeszedł się kilka razy po pokoju.

Księżyc, szybujący wysoko po niebie, zalewał światłem okna, na których mróz powyrabiał piękne kwiaty. Sadzawka ogrodowa z wiekową lipą w pośrodku, cała pokryta śniegiem, igrała miljonami blasków i barw tęczowych. Pokryte szronem gałęzie drzew, splatając się z sobą, jakby zastygły, zamarzły w fantastycznych wzorach, a cały ogród wydawał się jakiemś groźnem, nagle zlodowaciałem, w chwili rozszalałej burzy, morzem. Wspięły się i rozbiegły dzikie fale i nagle zamarzły w swym szalonym, wściekłym biegu, zwyciężone przez potężny czar zimy.

A dalej drzemiący las, również śpiący, również nieruchomy, również okutany całunem... Surowym pierścieniem objął on również i ogród i posiadłość i jak gigantów, pilnuje on, aby nie tchnął na nich żywy duch z zewnątrz, aby nie doniosły się do nich dźwięki dalekiego szumu życia. Księżyc zalewał szczyty drzew swym blaskiem, ale cienie nocne walczą ze światłem i ponuro i groźnie wyglądają te stojące na straży olbrzymy.

Pan Piotr zatrzymał się w zamyśleniu.

Kiedyś bawili się z księciem pod tą lipą. Ona była taką samą, jaką jest dziś, ale oni nie ci sami...

Za nim dał się słyszeć lekki kaszel.

Pan Piotr odwrócił się.

W progu stał jego strzelec Sikorka. Przezwisko to nie bardzo zgadzało się z jego postacią. Włosy czarne, trochę już przyprószone siwizną, postać pełna godności daleko więcej harmonizowałaby z jego prawdziwem nazwiskiem: Szymon Sosna, ale... za młodu nazywano go Sikorką i pozostał też Sikorką na starość.

Sikorka więc stał w progu i widocznie był ogromnie zafrasowany i zakłopotany. Przestępował z nogi na nogę z miną człowieka winnego i będącego głęboko przeświadczonym o swej własnej winie.

Pan Piotr obrzucił go przeciągłym i przenikliwym wzrokiem i uśmiechnął się jakimś niedobrym uśmiechem.

— Książę zaprasza na polowanie — rzekł po chwili.

— Tak.

— Trzeba jechać...

Sikorka przestępował dalej z nogi na nogę.

— Niedźwiedź dobry?

— Dobry.

— Nasz?

— Nasz.

— Dyabły przeklęte! — przecedził pan Piotr przez zęby..

— Sam pan wie, proszę pana, jaka jesień była.. Ani trochę śniegu.

— Jaka jesień... jaka jesień! — powtarzał pan Piotr, silnie podnosząc głos. — Całe lato, dyabły przeklęte, strzegły!... Całe pole owsa wyszło na niego! Karmili go, karmili — i co z tego?

— Nic nie można było zrobić.. Całe lato był tutaj i nagle... Przed samem pójściem na legowisko przepadł, jak kamień w wodzie... Szukaliśmy go ciągle w lesie, a on bestya gdzie się pokazał!

Pan Piotr spojrzał na niego pytająco.

— A za Żybulichą, w jarze — uzupełniał Sikorka w odpowiedzi na to spojrzenie — i miejsce zupełnie nieodpowiednie.

— Opowiadaj, opowiadaj... Strzelcy książęcy jednak go wynaleźli!..

— Alboż to oni! — ożywił się nagle Sikorka.

— Nie oni? — zapytał pan Piotr.

— Nie, nie oni! — Marcin z Żybulichy poszedł po drzewo do lasu i natknął się na niego.

— Marcin — powtórzył pan Piotr. — Jakto i on nie dał znać?

— A Proszek temu winien.

— Proszek?

— On, i tylko on!

Pan Piotr widocznie oczekiwał na wyjaśnienie.

— Marcin, jak go tylko zobaczył, natychmiast zaprzągł wózek i w nogi do nas... a tu na drodze spotyka się z Proszkiem Ten naturalnie zaciągnął go natychmiast do karczmy... Napoił go jak należy, a potem wyciągnął z niego, co chciał i pojechał do księcia pana...

— Hm... to to tak...

— A tak...

— A ty zkąd wiesz o tem?

— A Łukasz opowiadał... On i dotychczas czeka na odpowiedź u mnie... Poczęstowałem go trochę, a on... wygadał mi się po przyjacielsku.

Pan Piotr znowu się przeszedł po pokoju.

— A niedźwiedź jest napewno? — zapytał.

— Napewno... Łukasz sam go widział.

— Trzeba zatem jechać...

— Trzeba... Niedźwiedź jest znakomity.

To znowu dolało oliwy do ognia.

— Znakomity... powtórzył pan Piotr. — Wypuścił go, dyabeł przeklęty! Sami tak nie zrobilibyśmy!

— Pewno, że nie tak — westchnął Sikorka.

— A teraz losowanie! — znowu uśmiechnął się pan Piotr niedobrym uśmiechem.

— To prawda — westchnął znowu Sikorka.

Rozmowa na chwilę się przerwała.

— Czy pan dzisiaj pojedzie? — zapytał Sikorka nie bez strachu.

— A to po co? — przerwał mu pan Piotr. — Jutro rano.

— A konie które przygotować?

— Siwki,.. stare...

— Hm... dzisiaj chodziły zauważył Sikorka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



„TO I OWO“.

Kończy się sezon polowania — znowu jeden rok dla myśliwego mija, przynosząc ponoś nieświetne rezultaty w ogóle. A przecież każdy z nas myśliwych ma tam gdzieś w kąciku duszy osobny swój świat, każdy z nas czy wielki tego świata, czy maluczki (jak wasz sługa n. p.), w tym kąciku przechowuje wspomnienia przeżytych zdarzeń. I ten więc rok, chociaż może dla wielu nie obfity liczebnie, przecież do zdarzeń tych dołączyć musiał niejedno — przyjemne, niezwykłe, a zawsze pouczające i doświadczeniem wzbogacające. Prawda! Jedni przechowują w wspomnieniach swych trofea niedostępne dla zwyczajnego śmiertelnika, inni — a jest ich liczba przeważna — zadowolić się muszą skromniejszym udziałem losu; dla tych i dobry strzał do lisa stanowi na długo miłe wspomnienie. A jednakże, mimo że w kraju znajduje się myśliwych dobrych i bardzo dobrych wielu — to mała tylko cząstka, i to rzadko, odezwie się w „Łowcu“, a przeważna ich liczba milczy chociaż nabytem, szerokiem doświadczeniem mogliby młodszą brać pouczyć, a już opowiadaniami przygód z życia swego myśliwskiego sprawiliby czytelnikom prawdziwą biesiadę duchową.

Myśliwy jako myśliwy, to kosmopolita w całem znaczeniu tego wyrazu; narodowość, przekonania, stanowisko socyalne, a nawet stopień intelektualnego rozwoju,nie nadaje w treści osobnych cech „myśliwemu“. Na stanowisku — Polak czy Niemiec, konserwatysta skrajny czy socyalista czerwony, „Jaśnie Pan“ czy chudopachołek — to zawsze tylko myśliwy — człowiek drogą atawizmu cofnięty do zamierzchłych czasów walki o byt z przyrodą. Prawda! Forma się zmieniła i zmienia, lecz tamten z łukiem jak i ten dzisiejszy z „hammerlesską, z ejectorem“ w ręku, to obydwa myśliwi i ten dzisiejszy przechodzi te same emocye nerwów — być może tylko, że dziś o większem napięciu, bo w przeczulonym przez cywilizacyę organiźmie.

Jak więc myśliwy jest kosmopolitą, tak i pismo nasze „Łowiec“ powinnoby być takiem. A przecież takiem nie jest. Przeważna liczba myśliwych z tzw. klasy średniej, urzędników zwłaszcza prywatnych, którzy pracując w krórymkolwiek z kierunków gospodarstwa wiejskiego — obcują ustawicznie z przyrodą, z których wielu jest znakomitymi myśliwymi i kierownikami łowiectwa w powierzonych im majątkach — tych wielu milczy, a dla części poważnej „Łowiec“ jest nawet pismem nieznanem. Zbytecznemby było dowodzić, sądzę, że całą siłą powinniśmy wspierać usiłowania Redakcyi, bo gdy ogół nie weźmie udziału w tem wspieraniu, to mimo wysiłków jednostek, jedyny nasz polski organ myśliwski, będzie prowadził zawsze życie suchotnicze. Co do mnie, sądzę, że właśnie z tej warstwy pracowników na polu gospodarstwa wiejskiego zrekrutowaćby się powinien i mógł poważny zastęp dzielnych współpracowników, a i fundusze — nervus rerum — zyskałyby na tem także. Przypatrzmy się podobnym pismom niemieckim. Tam spotyka się artykuły — liczne korespondencye, podpisane przez reprezentantów wszelkich warstw społecznych od hr. X. Y. do strażnika lasowego Z. A chociaż są tam artykuły rozmaitej wartości, to przecież światek myśliwski żyje z sobą w kontakcie i zasila jak może i umie wspólną arteryę, w której nie niebieska i nie czerwona, lecz ta zielona, jednakowa krew myśliwska płynie. W licznych wypadkach starałem się zbadać przyczynę tego wstrętu do pióra i tej apatyi u ludzi, którzy posiadają prawdziwie nie wyczerpaną skarbnicę doświadczenia, którzy przeżyli liczne zdarzenia nie powszednie, któremi na długo zasilaćby mogli ku pożytkowi i uciesze duszy myśliwskiej, szpalty „Łowca“. Otóż jedni twierdzili, że „Łowiec“ jest pismem arystokratycznem, inni obawiają się krytyki, inni znowu możeby się odważyli pisać lecz — „jak tu zacząć“.

W każdym razie przyznać trzeba, że obecna atmosfera, w której „Łowiec“ żywoci — zdrową nie jest; sądzę, że jest to rzeczą, — obowiązkiem — pp. Delegatów zbadać przyczynę choroby, a potem stosować środki uzdrawiające, między którymi: „w słabą stronę“ trafiająca zachęta, a i pomoc praktyczna przecież, chociaż powoli rozszerzą widnokręgi „Łowca“. Dziś, ktoby chciał z tego organu poznać stosunki łowieckie w kraju — doszedłby do zupełnie wątpliwych rezultatów.

Np. czy czytamy kiedy o tych przepięknych łowach na grubego zwierza w wschodniej Galicyi; a przecież tam jak np. w okolicach naddniestrzańskich pada kilkadziesiąt dzików rocznie, na zasiadkę — z naganką — przy psach, od kuli i od kordelasa — ileż to przepysznych epizodów tkwi głęboko w niestety samolubnej pamięci tamtejszych myśliwych. W ogóle zaś w kraju ileż to spostrzeżeń z życia zwierząt wzbogaciłby mogło naukę, ile cennych, bo na doświadczeniu opartych rad i wskazówek co do hodowli zwierzyny, sposobów polowania, psów, broni — pouczyłoby szerszy ogół i zachęciło do naśladowania tego, co dobrem się okazało, a ostrzegało przed złem!

Obecnie np. w poruszonej sprawie „sprowadzania kuropatw“, tak mało głosów się odzywa, a wiem, że w niektórych majątkach robione były próby w tym kierunku. I tak np. P. A. S., właściciel majątku Ż. nad Dniestrem, gdzie ptak zwany kuropatwą zachował się tylko w tradycyi, po trzech latach dochował się stanu kuropatw liczącego około 400 sztuk. Postępowało się tam według następującej „recepty“:

Kuropatwy (każdorocznie — razem około 60 parek), sprowadzało się w późnej jesieni z Czech, przezimowało w odpowiedniej ubikacyi spokojnej, z oknem otwartem zakratowanem, ze stropem o rozpiętem płótnie, a podłogą piaskiem suchym wysypaną. W ubikacyi tej w narożach porobiło się schroniska z drzewek świerkowych, zaś pożywienie stanowił: poślad pszeniczny, nasiona chwastów z pod maszyny, liście zielone kapusty i jarmużu, codziennie świeża woda w szerokiem naczyniu. Wymiar karmy był mierny, by zapasieniu przeszkodzić. Z wczesną wiosną dobrane parki, po poprzedniem lekkiem oblepieniu skrzydełek gliną, wieczorem, rozwoziło się w odpowiedne pod względem zadrzewienia i bezpieczeństwa przed drapieżnikami — miejscowości, w klatce, na miejscu ją się niespostrzeżenie otwierało, by kuropatwy nie płoszone swobodnie wyszły. Coż to za radość nastaje! Do późnej nocy „cirik, cirik“, aż dusza się raduje, lecz i strapienie przychodzi czy to biedactwo, zimową niewolą do pewnego stopnia zniedołężniałe, nie padnie łatwo ofiarą jakiegoś nocnego lub dziennego rabusia. O tem jednak myślano wcześniej i z całą świadomością i przeświadczeniem, że w okolicach, jak

tamta właśnie, obfitujących w wszelkiego rodzaju drapieżniki: (żbik, lis, kuna, łasica, orzeł, puhacz, jastrzębi wszelkie odmiany, wrona, sroka, psy, koty), że wobec tego usiłowania wprowadzenia kuropatw byłyby utopią, z całą energią i ofiarami pieniężnemi wzięto się wcześniej do przetrzebienia tej falangi wielkich i małych zbójów, a środkami ku temu w rezultacie najdzielniejszymi były: przyjęcie strażników polowania dobrych i pilnych strzelców, wyznaczenie strzałowego za drapieżną zwierzynę, niszczenie jej łęgów, założenie licznych żelaz zasiadowych (znakomite rezultaty), utrzymywanie puhaczy do polowania, założenie remiz, wreszcie strychnina. Rozumie się, że prócz bardzo dobrze wzrastającego stanu kuropatw i stan innej zwierzyny, a zwłaszcza zajęcy, znakomicie się podniósł. W zimie, tak w polu jak i w kniei odpowiednie karmienie zwierzyny następuje.

Do tych jednak rezultatów doszedł właściciel, sam myśliwy, w całem znaczeniu tego słowa, dla którego widok zwierzyny przyjemniejszym jest jak strzał do niej, a który nie szczędzi i nakładów i własnej pracy w czuwaniu, by cała maszyna prawidłowo funkcyonowała.

A. R. R.

* * *

Do słów szanownego korespondenta, któremu na tem miejscu dziękujemy, dodać musimy tylko to, iż ma zupełna słuszność twierdząc, że wielu z naszych myśliwych nazwać należy samolubami, bo mając tak wiele doświadczeń myśliwskich, nie chcą dzielić się niemi z bracią myśliwską. To, co każdy prawdziwy i praktyczny myśliwy może o swoich doświadczeniach powiedzieć, jest w piśmie łowieckiem tem, czem pogadanka przy kominku po polowaniu, zwykle tak ożywiona i z takiem zajęciem prowadzona. Wydział Towarzystwa gorąco uprasza swoich szanownych członków, aby o tej rubryce nie zapominali. (Przyp. red.)



KORESPONDENCYE.

Muchawka i Antonów (w pow. czortkowskim) 16 listopada 1897.

(Jaja przepiórcze. — Dropie. — Pojawienie się kuropatw. — Stan zajęcy).

Korzystając z wolnej chwili chcę się podzielić z czytelnikami *Łowca* dość rzadkim faktem. — Oto trzy dni temu przyniósł mi mój polowy, notabene wielki miłośnik polowania — wprawdzie sam strzelby nigdy w ręku nie miał, ale wszystkie kruczki łowieckie są mu doskonale znane, a w podjeżdżaniu czółnem kaczek, to chyba równego sobie nigdy nie znajdzie. Ten więc typowy „Franko“ przyniósł mi gniazdko przepiórcze z 13 ma jajami całkiem jeszcze ciepłemi, bo jak twierdzi „stara z pod nóg mi zarwała“. Muszę dodać, że mamy tu po 11-cie stopni mrozu — dziwny objaw wytrzymałości u zwykle tak delikatnego stworzenia.

Mam tu i dropie; zwykle bywa ich po 40 sztuk, próbowałem podchodzić, ale straż przednia, której w ferworze nie zoczyłem, zaalarmowała całe towarzystwo, składające się z 9-ciu sztuk; mógłbym pisać wiele o mych przygodach z dropiami, bo już od dziecka spokoju mi nie dawały, a mając lat 9 ubiłem pierwszego — ale dziś nie pora.

Muszę jeszcze dodać o bardzo miłym, dla mnie myśliwego fakcie. — Podole w ogólności nie słynie z kuropatw, nie tak jak n. p. tarnowskie, gdzie będąc przez dwa lata na praktyce gospodarczej w dobrach ks. Namiestnika Sanguszki po 15 i więcej stad dziennie spotykałem. U siebie nie widziałem przez kilka lat ani jednej; otóż teraz pojawiło się stado do 30 sztuk liczące, które się kręci koło samego folwarku — naturalnie, że będę się starał miłych gości przezimować — ale tu mała nadzieja — żadnego pokrycia — czyste pole — prawdziwe „Podole“, a jastrzębi pomimo tępienia huk.

Zajęcy mało na oziminach widać i pomimo prawie 2.000 morgowego polowania dopiero kilka ubiłem — wprawdzie nie bardzo i forsuję — czekam dobrej pory, bo na śniegu dopiero prawdziwe polowanie.

Antoni Abgaro Zacharjasiewicz.

Z Bełzkiego w Grudniu 1897.

(Lasy bełzkie — Towarzystwo myśliwych kniei bełzkiej — Pomyślny rozwój. — Znakomity gospodarz. — Owacya dla prezesa Tow. — Świetne widoki na przyszłość).

Świeżo uchwalona przez Sejm i już sankcyonowana ustawa łowiecka, po uzupełnieniu przepisami wykonawczymi i instrukcyą, wejdzie zapewne już niedługo w życie. Z nią razem rozpoczyna łowiectwo krajowe nową erę, — i jeśli tylko potrafimy wyzyskać to wszystko, co nowa ustawa pożytecznego i dobrego zawiera i jeśli nasze władze powiatowe i gminne potrafią raz przecie obudzić się z dotychczasowej apatyi i chcieć i pamiętać będą, że ich pierwszem zadaniem jest strzedz ustawy, a zatem jej ścisłego wykonywania na każdym kroku zawsze pilnować, — jeżeli wreszcie i my wszyscy, co do drużyny św. Huberta się zaliczamy, stale i wytrwale do podniesienia łowiectwa w kraju dążyć będziemy, — to może nareszcie ta nowa era, będzie erą rozkwitu naszego łowiectwa, — może zaludni dzikimi mieszkańcami dziś na ogół puste lasy i pola, — i może zapewni naszym biednym, zmarzniętym, głodnym, prześladowanym — schronienie, pokarm i ochronę.

Stoimy zatem u przełomu, — a więc nie od rzeczy będzie myśl skorą do biegu w przyszłość, zwrócić do czasów ubiegłych, bo może zajmującem będzie dla czytelników *Łowca* i dla braci myśliwskiej uchylić rąbek zasłony, kryjącej historyę łowiecką, milczących dotąd lasów bełzkich z ostatnich lat dziesięciu.

W tej myśli prosimy Szanowną Redakcyę o gościnne przyjęcie naszego sprawozdania, a choć sprawozdanie to nie błyszczy może cyframi ubitej zwierzyny, to niemniej da ono niewątpliwie obraz wytrwałych i szczerych usiłowań i może posłuży za zachętę do podobnych usiłowań gdzieindziej.

Za inicyatywą p. Aleksandra Hulimki i Juliusza hr. Tarnowskiego zawiązanem zostało pod koniec r. 1886 „Towarzystwo myśliwskich kniei bełzkiej.“

Towarzystwo to przyjąwszy w swoje grono wszystkich równie szczerze myślących myśliwych dawnej ziemi bełzkiej i uchwaliwszy statut podobny do lisowickiego, wy-

dzierżawiło od gminy miasta Bełza należący do mieszczan jeszcze z mocy nadania królewskiego, las bełzki obszaru 1700 morgów. — Knieja ta tworząca przestrzeń zwartą o szerokich ścianach granicznych posiada wszelkie możliwe naturalne warunki dla racyonalnej gospodarki łowieckiej. Administrowana pod względem kultury lasowej znakomicie przez leśniczego pana Seweryna K o l b u s z e w s k i e g o, pocięta szerokiemi liniami, przy stuletnim tur nusie wyrębów drzewa, obfita w wodę, w znaczną przestrzeń odwiecznej dębiny i sośniny, w gęste szpilkowe i liściowe kultury, robi już na pierwszy rzut oka wrażenie istnego myśliwskiego eldorada. Niestety knieję tę objęliśmy prawie zupełnie wystrzelaną, a nadto obdarzył nas Pan Bóg sąsiadami, którzy w ujemnym kierunku potrafili więcej zdziałać niż my przysporzyć! — Z jednej bowiem strony przypiera do łasu bełzkiego las Prusinowa z kilkudziesięciu chłopskiemi parcelami wśród lasu, z kilkunastoma patentowanymi kłusownikami, dostarczającymi mięsa kuchni dworskiej, a pewnie kilkudziesięcioma niepatentowanymi, — z drugiej zaś strony wąską szyją las chlewczański, którego właściciel słodkie miewał oziminy dla naszych sarn, ale też uważał za rzecz naturalną z każdej takiej sarniej wizyty i o każdej porze korzystać.

Toż łatwo pojąć jak często w ciągu roku, wiosny nie wyjmując, ciszę bełzkiej kniei przerywały strzały na granicach ile to trupów, — ile wdów i sierot, — przepraszam ilu wdowców — rogaczy sąsiadom zawdzięczamy.

Urok naszej kniei stanowią jarząbki, których w niektórych latach było wcale dużo, — dziki zdziesiątkowane w całym kraju, — są jednak prawie stałą naszą zwierzyną i w tym zwłaszcza roku stale się trzymają.

Rezultat nasz myśliwski za dziesięciolecie 1886 1897 przedstawia się następująco:

Rok	Dzik	Rogacz	Lis	Zając	Jarząbek	Słonka	Cietrzew	Koza	Razem sztuk
1886 87	2	1	3	3					9
87/88	3	—	3	3					9
88 89	10	5	8	13					36
89/90	1	5	6	11	3				26
90/91	3	6	7	30	4				50
91/92	4	8	8	18	2	2			42
92/93	1	5	7	87	10		1		111
93/94	—	7	4	43	3			1	58
94/95	3	8	3	36	1				51
95/96	1	9	6	31	6	1			54
96/97	—	9	10	55	1		1	1	77
Razem	28	63	65	330	30	3	2	2	523

Z rezultatu tego widoczny jest wprawdzie powolny, ale stały postęp.

Z chlubą zauważyć możemy, że przez cały okres dziesięcioletni tylko jedna koza znalazła się na rozkładzie, druga skończyła samobójstwem, bo wynieśli ją nam z miotu gońcy dogorywającą ze strzaskaną o drzewo głową.

Ale też polowania nasze idą jak w zegarku, a kochany nasz prezes, silny statutami, niemiłosiernie ściąga kary i apelacyi nie zna.

Polujemy dwa razy do roku po dwa dni, — w listopadzie i w pierwszej połowie stycznia. — Bagna, których dość jeszcze w lesie i różne inne przeszkody nie pozwalają odbywać polowań jesiennych w czasie ciągu słonek, — toż nie mamy ich prawie w naszym wykazie

Miewaliśmy wśród ciągłych zapasów z sąsiadami bardzo wiele chwil zwątpienia, — ale też, ktoby podsłuchał częste nasze rozmowy, ktoby widział smutne twarze towarzyszy, gdy kilka siut samotnych bez tegorocznego potomstwa na linią wyszło, — ktoby widział radość, gdy w miocie dużo sarn widziano, choć one nieraz poszły skrzydłem lub na nagonkę, tenby może uwierzył, że w naszem Towarzystwie panuje prawdziwy duch myśliwski, — lecz duch złożony z samych sprzeczności, bo z chęci zabijania i równocześnie ze szczerej miłości do zabijanych istot, — lecz duch przesiąkły gorącem przywiązaniem do rodzinnej ziemi, zdolny do odczucia cudów przyrody, zadumany na szum drzew, drżący na odgłos trąbki.

Ale toż i w chwilach ciężkich dla duszy myśliwskiej nie brak nam było osłody, — bo po dniu spędzonym w lesie, nieraz ze słabym rezultatem, wracaliśmy do leśniczówki, w której trzy pokoje oddane mamy do dyspozycyi, — a tam wśród dawnych wspomnień, wśród tysiącznych opowiadań, żartów i rozmowy prędko wracaliśmy do równowagi, zanim senne oczy nie zawiodły nas na twarde sienniki i zanim nasza drużyna nie umilkła marząc o przyszłem polowaniu.

Zimowem polowaniem 1897 zakończyliśmy dziesięciolecie istnienia naszego Towarzystwa, — a zakończyliśmy serdeczną owacyą dla kochanego prezesa p. Aleksandra Hulimki, który przez cały ubiegły czas nam dowodził, a przy ścisłym rygorze potrafił zaskarbić sobie szczere przywiązanie i uznanie nasze. Pod jego przewodem były polowania nasze prawdziwą przyjemnością dla starszych, a doskonałą szkołą myśliwską dla młodszych towarzyszy, toż nigdy nie było tak gwarno w naszej chatce i nigdy nie spełniliśmy tyle kielichów na pomyślność naszego prezesa i powodzenie przyszłych polowań, jak dnia tego, — a że na pamiątkę tej naszej uroczystości obdarzyli wdzięczni towarzysze prezesa wspaniałych rozmiarów puharem, więc i toasty, choć z serca pochodzące, nie dla wszystkich łatwe były do wychylenia.

Jesiennem polowaniem tegorocznem rozpoczęliśmy nowy okres, a już u wstępu ucieszył nas Prezes wiadomością, że udało mu się wydzierżawić las chlewczański p Gelbera, obszaru 1000 około morgów, — mamy więc pełną nadzieję, ze zupełny spokój z tej strony podniesie wkrótce nasz zwierzostan, a nadto przybędzie nam prawdopodobnie trzeci dzień polowania. — Gdy przytem nie widzieliśmy w tym roku ani jednej siuty samotnej bez tegorocznego potomstwa, — gdy dalej jest wszelka nadzieja, że i las prusinowski przejdzie w inne, mniej krwi żądne ręce, więc łatwo zrozumieć, z jaką otuchą w przyszłość spoglądamy i jak się cieszymy nadzieją, że już wkrótce lepszymi rezultatami w następnem sprawozdaniu będziemy się mogli pochwalić.

Na ostatniem tem polowaniu ukonstytuowaliśmy się na nowo, wybierając ponownie przez aklamacyę prezesem Aleksandra Hulimkę, wiceprezesem Juliusza hr. Tarnowskiego, łowczym Kazimierza Marmorossa, a sekretarzem Józefa Grünwalda. Członków liczy nasze Towarzystwo obecnie 14-tu, gdyż

oprócz wyżej wymienionych jeszcze: Edwarda Müntera, Bolesława Kaplińskiego Franciszka Jędrzejowicza, Jana Sołowija, Mieczysława Wysockiego, Klemensa Skawińskiego, Michała Hulimkę, Władysława Sołowija, Romana Grocholskiego i Jana Hulimkę.

Nad ciemnym lasem czarne ciągną chmury,
Coraz mroźniejszy wiatr wieje,
Opadły liście szumi bór ponury
To zima idzie przez knieje!

Strwożona sarna odgrzebuje trawy
Głodem przymiera już marnie,
Wychudły szarak lichej szuka strawy,
Do chłopskiej chaty się garnie.

Lecz bełzka knieja, to raj dla zwierzyny,
Tam żeru znajdzie do woli,
Tam jej nie braknie wonnej koniczyny
Świeżego siana, ni soli.

Tam zając ciężki i sarna oblana,
Odyniec, jakby z karmnika,
Bo Kolbuszewski i wieczór i z rana
Z karmą do boru pomyka.

Bóg zapłać wszystkim, co o zwierza dbają,
Niech życie szczęście im słodzi,
Niech towarzysze wiernie ich kochają,
Diana spotkaniem nagrodzi!

Towarzysz.

Z Tarnopolskiego.

[Polowanie w Zagrobeli. — Niezwykłe parostki u rogacza].

W dniach 16, 17 i 18 grudnia 1897 odbyło się polowanie w lasach należących do Zagrobeli, majątku wiceprezesa Galicyj. Tow. łowieckiego, ordynata Tadeusza Czarkowskiego - Golejewskiego. Polowano w 10 strzelb, a ogólny wynik łowów trzydniowych wykazał 18 rogaczy, 3 lisy i 90 zajęcy.

Powietrze było wyjątkowo niesprzyjające, albowiem temperatura iście wiosenna, wyprowadziła przeważną liczbę zajęcy na oziminy zupełnie odkryte, gdyż śniegu prawie nic nie było; nadto prawdziwie majowy deszczyk urozmaicał nam najmilsze chwile w lesie — pomimo jednak tych wybryków aury rezultat łowów był, jak widzimy, nawet i dla najwybredniejszych, bardzo zadowalniającym. Stan sarn w lasach zagrobelskich jest rzeczywiście bardzo piękny i z rokiem każdym stale się powiększa, co jest wyłącznie zasługą właściciela, który wszelkich starań dokłada, by zwierzynie w jego lasach jak najlepiej się działo. Poprzedni właściciel Zagrobeli pozostawił był knieję w dość opłakanym stanie, kłusownictwo kwitło tam na wielką skalę, a służba leśna nietylko, że rewirów nie pilnowała, ale odstrzeliwała sama wszystko, co tylko pod lufę przyszło. — W takim stanie rzeczy nie mogło dziać się dobrze, tem większa więc zasługa teraźniejszego właściciela, który w stosunkowo krótkim czasie doprowadził knieję do kwitnącego stanu.

Na małem polowaniu, a raczej przechadzce myśliwskiej, bo tylko w trzy strzelby odbytej 30 grudnia 1897 w Ostrowie u hr. Władysława Baworowskiego, gdzie padły 4 rogacze i 40 zajęcy, ubił hr. Adam Edward Starzeński rogacza, którego niezwykłe parostki stały się ciekawą zagadką dla myśliwych. Jest to rogacz bardzo silny i stary (25 kilo ważący po wypatroszeniu), od dni kilku dopiero pojawił się był w ostrowskim rewirze. Rogi jego niezwykle wielkich rozmiarów wskazują na regularnego szóstaka, dziwnie bogato operlone, omszone są, jak to bywa zazwyczaj dopiero z końcem lutego lub w marcu. Spoczywają one na koronie bardzo twardej i również bardzo silnie operlonej, z której wydobywają się niezwykle wielkie cztery perły — jakby zarodki czterech nowych rogów.

Całość rogów jest zupełnej twardości i w zwykłych warunkach wskazywałaby na myłkusa, który rogów w tym roku nie zrzucił — ale zkąd się bierze to omszenie o tej porze? Głowę tego ciekawego rogacza odesłano do wypchania do pracowni pana Alfreda Dzikowskiego.

W każdym razie jest to dla myśliwych ciekawą zagadką.

J. B.



SPRAWOZDANIA ŁOWIECKIE.

Z Galicyi.

W Ossowcach, majątku hr. Aleksandra Potockiego, w kniei 260 morgowej wśród pól ubito dnia 14. grudnia w 10 strzelb 120 zajęcy, rogacza i lisa. Byłoby padło więcej zwierzyny, tylko dzień był wilgotny i dużo zajęcy musiało być w polu.

W Krakowcu u hr. Łubieńskiego w 3 dni padło 5 lisów, 2 cietrzewie, kuropatwa, 36 bażantów, 46 zajęcy i 18 rogaczy. Deszcz i wiatr, pole srokate i dużo rogaczy przepuszczono — powinno było paść 60 sztuk, bo stan sarn prześliczny — doprawdy, że można powiedzieć, iż się roiły w miotach. Knieja głęboka, polowano w 14 strzelb, ale mioty duże i mało flanka była obstawiona — tam można tydzień polować. — Dużo miotów nie wzięto, a nawet i rewirów — i tak braliśmy po dwa mioty, a często i cztery na raz. Wszędzie dojeżdżało się powozami, bo przez każdy rewir szosa przechodzi — a w lesie saniami się podjeżdżało.

Przez całe te trzy tygodnie polowania ledwie parę dni mieliśmy pogodę. Srokate pole, co bardzo źle wpływa na polowanie i okiść przez parę dni i deszcz, z tem wszystkiem dobrze się polowało w miłej drużynie, a podejmowano nas prawdziwie po pańsku i ze szczerą staropolską gościnnością. Bóg zapłać za już . . . . .

W Bilce, Kłodnie, w Wulce w 7 dni u księcia Jana Sapiehy, po czarnej stopie zabito dzika, 12 lisów, 3 jastrzębie, sowę, i 192 zajęcy. W taki czas i w 10 strzelb to można powiedzieć, że świetnie udało się polowanie. Strzałów padło 489.

Marceli hr. Tyszkiewicz
delegat brodzki.

W dniach 10, 11, 12, 13, 14 i 15 bm. odbyło się polowanie w dobrach p. Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego w Wysuczce. Polowano przeciętnie w 10 strzelb i pomimo przeważnie niesłychanie niepomyślnej aury, znalazło się na rozkładzie 4 lisy, 27 rogaczy i 235 zajęcy. Rezultat ten, który w razie pomyślniejszej pogody byłby bez porównia lepszym, świadczy w każdym razie o stałem zwiększaniu się zwierzostanu w dobrach ordynacyi. Dzikom niestety udało się w tym roku wyjść obronną ręką — brak

śniegu uniemożliwił ich otropienie — pomimo tego więc, że były w rewirze i że na nie polowano, nie wyszły nigdzie na myśliwych. Dopiero w ostatnim dniu, w jednym z ostatnich miotów, w którym tylko drobniejszej zwierzyny się spodziewano, gdy w strzelbach przeważnie tylko śrut się znajdował, wysunął niespodziewanie dzik na jednego z myśliwych na samym końcu lewego skrzydła linii stojących. Zmieniona w oczach dzika kula chybiła zdaje się celu — lecz nawróciła go, tak, że defilował przed całą linią strzelców w odległości około 80 kroków. Posypały się strzały — brzęczał mu koło uszu nieszkodliwy śrut, świstały mu nad uchem gorączkowo wysyłane kule z dwóch czy trzech drylingów i z nabitego na prędce sztućca — on zaś sunął jak strzała wśród drągowiny na samym wierzchołku pagórka, jak w aureoli w czerwonych blaskach chowającego się właśnie za pagórek ten słońca. Zakończył tę defiladę skręceniem na sam koniec prawego skrzydła linii, gdzie dostał z pewnej ręki i z bliska dwa strzały śrutem. Farbował z miejsca — jednak nie obległ ani w drugim, ani w trzecim miocie, jak to zaraz skonstatowano. Co się z nim stało, czy padł, czy też rozgoryczony kieruje się na zaciętego przeciwnika wszelkiego strzelania i obiecuje sobie próbować odwetu na pierwszym, ktoby chciał robić dalsze szczerby w jego skórze, nie było wiadomo aż do chwili wyjazdu z Wysuczki.

Ten epizod zakończył właściwie polowanie, które mogło było być bogatsze w rezultaty, gdyby pogoda była dopisała, ale które przyjemniejszem być nie mogło — trudno bowiem byłoby znaleść gdziekolwiekbądź więcej ujmującej gościnności, niż u szanownych gospodarstwa.

* * *

O polowaniu w Wysuczce i o przygodzie z dzikiem, powyżej opisanej, otrzymujemy wiersz następujący:

Wszyscy wiedzą: Wysuczka z gościnności słynie.
I to się nawet w leśnej odbija zwierzynie:
Jest tu w lesie odyniec piękny, co z pewnością
Wszystkie dziki prześcignąć umiał gościnnością.
Chcąc zabawić myśliwych, poprzed nimi leci,
Wciąż wołając bez trwogi: No, bawcie się dzieci!
Jak gdyby młyn ognisty — osiem rusznic grzmiało,
A dzik jak salamandra w ogniu został cało.
I zdumieni myśliwi wnet poznali z tego,
Że musiał sobie kupić kędyś płaszcz Dowego,
Bo te kule, co przy nim gdzieś ugrzęzły w śniegu,
Tylko go do szybszego nakłoniły biegu.
A śruty, co być miały zwiastunami zguby,
Na pamiątkę zachował w swojej skórze grubej,
Własnej krwi kilka kropel, jakby wodę z strzechy,
Pozostawił stęsknionym strzelcom, dla pociechy.

Starzeński.

Z Poznańskiego.

Na polowaniu w Kromolicach dnia 20. grudnia, u p. J. Modlibowskiego ubito w 12 strzelb 376 zajęcy.

Na polowaniu w Gałowie i Ostrowie ubito w 9 strzelb 352 zajęcy, 2 rogacze, lisa, 8 królików i 2 bażanty, Królem polowania był hr. Mieczysław Kwilecki z Oporowa, który zastrzelił 72 zajęcy, bażanta i 4 króliki, wicekrólem hr. Mycielski z Buszowa z 52 zającami, rogaczem i lisem.

W dniu 28. grudnia ubito na polowaniu w Biernatkach 150 zajęcy i lisa. Przy tej sposobności złożyli myśliwi jako strzałowe 26 marek na pomoc naukową Towarzystwa Przemysłowego w Kórniku i 70 fenigów na pomoc naukową dla dziewcząt, które to pieniądze odpowiednio umieszczone zostały.

Na polowaniu, odbytem d. 9. grudnia w Wydawach pod Poniecem, własności Jana Mycielskiego ubito w 7 strzelb 250 zajęcy, 35 bażantów, 5 kozłów, 60 królików, 8 sztuk innej zwierzyny, razem 358 sztuk.

Na polowaniu w majątku Ujeździe i Urbanowie, własności hr. A. Żółtowskiego, ubito w 9 strzelb 918 zajęcy i lisa.

W Oporowie u p. Ignacego Morawskiego ubito d. 30. grudnia 390 zajęcy, 79 królików, 4 rogacze, 13 bażantów, 3 sztuki różnej zwierzyny, razem 489 sztuk.

Na polowaniu w Sielcu, majątku księcia Zdzisława Czartoryskiego ubito 930 zajęcy, 2 lisy i kilkadziesiąt bażantów.

Z Królestwa.

Dnia 21 grudnia odbyło się polowanie w Grodżcu, gub. kaliskiej, w dobrach Kazimierza hr. Kwileckiego. W 8 strzelb zabito: 1 kozła, 1 lisa, 86 zajęcy, 1 cietrzewia i 2 kuropatwy.

U hr. Jana Bnińskiego w Osieczu, w pow. włocławskim, w dniu 15 grudnia, w 8 strzelb zabito: 130 bażantów, 32 zajęcy i 5 królików. Królem polowania był Tomasz hr. Potocki.

U pp. Bonieckich, w Tomczynie, w pow. grójeckim, w d. 9 i 10 grudnia, w 20 strzelb zabito: 119 zajęcy, 10 rogaczy, jelenia i dzika. Królem polowania był p. Ludwik Górski (junior).

W Krzczonowie, w pow. opoczyńskim, u p. R. Krumpla, w dniu 18 grudnia, w 6 strzelb zabito: 56 zajęcy, lisa i 3 kuropatwy.

Na polowaniu w Radoszewicach u p. E. Wodzińskiej w 10 strzelb zabito 2 borsuki, 1 rogacza, 3 cietrzewie, 10 kuropatw i 126 zajęcy. Królem łowów był pan Michał Białecki.

W dobrach Okalewo w pow. rypińskim u p. A. Chełmickiego w pierwszych dniach grudnia odbyło się polowanie z naganką. Pod celnymi strzałami myśliwych padło około 200 zajęcy, 8 kozłów i 3 lisy. Królem polowania był p. Roman hr. Plater. Polowanie było prowadzone wzorowo Powyżej wymienione liczby zabitej zwierzyny są najlepszem świadectwem, do czego może doprowadzić racyonalna i umiejętna gospodarka myśliwska. W tychże dobrach parę lat temu zabijano zaledwie kilkanaście zajęcy, kozły zaś były rzadkością; dziś zabita ilość świadczy o ogromnym kroku naprzód i pozwala śmiało wnioskować, że w niedalekiej przyszłości knieja okalewska stanie na równi z najlepszemi w kraju.

Na polowaniu w Makolicach u p. St. Łazarewa ubito w 15 strzelb 71 zajęcy i 15 kuropatw. Najwięcej sztuk zabił p. H. Bronikowski. Na temże polowanin p. K. Kręski podał projekt, aby myśliwi za każdy strzał składali po jednej kop. na wpisy dla uczniów gimnazyum. Projekt ten przyjęto chętnie i po polowaniu p. Kręski zebrał od myśliwych 3 rs. 80 kop., którą to sumę przesłał do redakcyi *Tygodnia*. Wartoby ten przykład naśladować.

Dnia 6 grudnia na polowaniu w Jarantowie. w gub. kaliskiej, u p. Stanisława Radońskiego, w 30 strzelb ubito 260 zajęcy. Królem łowów był p. Emil Repphan, który zabił 27 zajęcy,

W dobrach ks. Lubomirskiego Konary pod Kijowem odbyło się w grudniu polowanie u dzierżawcy p. Józefa Jarockiego z Poznańskiego. W 12 strzelb ubito 3 dziki, 5 kozłów 123 zajęcy. Królem polowania został p. hr. Bniński. Nie odbyło się też bez wypadku, który spotkał Tielemana, prowadzącego lewe skrzydło naganiaczy. Dzik raniony pokaleczył śmiertelnie Tielemanna, skutkiem czego drugiego dnia nastąpiła śmierć.

U p. Hipolita Wąsowicza, w Jasieńcu, w powiecie lipnowskim, w dniu 13 grudnia odbyło się polowanie w 10 strzelb, na którem pomimo deszczu ubito 2 kozły, 88 zajęcy, lisa, 9 kuropatw i jastrzębia. Królem polowania był p. Zdzisław Rutkowski ze Spetala.

W Płomianach, u p. Bronisława Pruskiego, w pow. lipnowskim, w d. 9. grudnia polowano w 16 strzelb i ubito 109 zajęcy i 18 kuropatw. Królem polowania był p. Antoni Borzewski z Ugoszcza.

W Dębach Szlacheckich, u p. Jana Łuszczewskiego, w pow. kolskim, w d. 13 grudnia polowano w 20 strzelb i zabito lisa, 340 zajęcy i 5 kuropatw. Najwięcej ubił p. Tadeusz Busse (34 sztuk).

W Osieku Małym, u p. Antoniego Łuszczewskiego, polowano w dniu 14 grudnia, w 21 strzelb i ubito 2 lisy, 306 zajęcy, 6 rogaczy, 6 cietrzewi, 16 kuropatw i 2 jastrzębie. Królem polowania był p. Jan Łuszczewski (36 sztuk).

W Kijanach, u p. St. Sonenberga, odbyło się polowanie w dniach 15 i 16 grudnia w 15 strzelb i ubito 179 zajęcy, 12 rogaczy, lisa i jastrzębia; pomimo niesprzy-

jającej pogody, mgły i odwilży. D. 17 zaś polowano w 10 strzelb na bażanty i w trzy godziny ubito 105 sztuk. Królem polowania był dr. Gustaw Doliński, Rezultat łowów świadczy wymownie o starannej opiece i zamiłowaniu, nieodzownych dla podniesienia zwierzostanu, a niestety tak rzadkich w gubernii lubelskiej.

W Brzezicach, u p. Edmunda del Campo Scipio, polowano w d. 11 grudnia w 14 strzelb i ubito 115 zajęcy, rogacza i 6 bażantów. Królem polowania był p. H. Bloch, który ubił 15 zajęcy, rogacza i 2 bażanty.

W ostatnim tygodniu grudnia odbyło się pierwsze w tym sezonie polowanie w dobrach wilanowskich p. Ksawerego hr. Branickiego. Polowano na Kabatach w 14 strzelb i ubito 317 zajęcy, 2 lisy, 6 bażantów i 2 jastrzębie. Jest to wobec zeszłorocznego rezultatu (603 zajęcy) rozkład bardzo mały, z czego okazuje się, że rok ten tak niefortunny dla zwierzostanu w bardzo wielu okolicach kraju, wpłynął niekorzystnie na ilość zwierzyny i w tej wyjątkowej kniei. Silna okiść i niemożebność zebrania dostatecznej ilości naganki przyczyniły się również do zmniejszenia tegorocznego rezultatu. Królem polowania był p. August hr. Zamoyski, który miał na rozkładzie 40 zajęcy i lisa.

W dobrach Wilanowskich w leśnictwie Chojnów w dniu 28. i 29. grudnia odbyły się polowania w 12 strzelb i ubito w ciągu tych dwóch dni 376 zajęcy, 16 rogaczy, 3 lisy, 4 dziki, 3 kuropatwy, 2 sowy, cietrzewia, jastrzębia i kunę. Królem polowania był ks. Stefan Lubomirski.

D. 21. grudnia odbyło się polowanie w Marchwacu, w pow. kaliskim, u p. Niemojowskiego, gdzie w 12 strzelb zabito 394 zajęcy, 42 kuropatw, 16 bażantów i kozła. Królem polowania był p. Wojciech Wyganowski, który ubił 51 sztuk. Polowanie zakończyło się bardzo przykrym dla gospodarza i myśliwych epizodem. P. Alfred Wierusz Kowalski, jedna z pereł naszych w świecie malarskim, wypadł z bryczki i uległ wybiciu ręki, tak, iż musiał przestać polować. Po opatrzeniu okazało się, że może poważnych następstw nie będzie.

W dn. 21 grudnia na polowaniu w Węcławicach u p. Bronisława Kretkowskiego, w 16 strzelb ubito 212 zajęcy, 2 lisy i 9 kuropatw. Królem polowania był p. Stefan Kretkowski

W d. 23. grudnia na polowaniu w dobrach radziejowickich, hr. Józefa Krasińskiego, w 7 strzelb ubito 136 zajęcy, 2 rogacze i 12 kuropatw. Królem łowów był hr. Kazimierz Krasiński.

W ostatnich dniach grudnia odbyło się polowanie w dobrach Gostomia, u p. Bolesława Jarkowskiego. W 6 strzelb ubito jelenia, 3 dziki, 5 kozłów i 40 zajęcy. Drobnej zwierzyny dlatego padło tak mało, że myśliwi w oczekiwaniu na grubą zwierzynę, zające przepuszczali. Knieje gostomskie przeważnie obfitują w grubą zwierzynę.

W d. 20. grudnia w majątku Zabłotnia, w pow. błońskim, odbyło się polowanie w 8 strzelb. Ubito 49 zajęcy i 11 kuropatw. Pomimo skromnego rezultatu polowania, które odbyło się w warunkach niepomyślnych, bo w fatalną zadymkę, zauważono w Zabłotni dobry i ciągle wzrastający zwierzostam.

W Górkach, w pow. sandomierskim, u p. Włodzimierza Karskiego, odbyło się w dniach 14. i 15. grudnia polowanie, na którem ubito 31 kozłów, 212 zajęcy i 2 lisy. Królem polowania był ks. Seweryn Czertwertyński.

W dniu 15. grudnia, w lasach majątku Kodrąb, p. Feliksa Trepki, w pow. nowo radomskim, odbyło się polowanie, na którem w 12 strzelb ubito 104 zajęcy, 10 kuropatw i 2 cietrzewie. Do sarn nie strzelano. Królem polowania był p. Andrzej Biesiekierski, który ubił 21 zajęcy, 8 kuropatw i cietrzewia. Godnem zaznaczenia jest, że w polowaniu uczestniczył b. podoficer. b. wojsk polskich, mający 91 lat, p. Szymon Pawłowski, oficyalista p. Trepki, który zabił 2 zające i na równi z innymi chodził po polowaniu przez cały dzień bez zmęczenia.

Dnia 14. grudnia w dobrach Ptaszkowice p. Antoniego Różyckiego pod Zduńską Wolą, 16 myśliwych zastrzeliło 70 zajęcy i 10 kuropatw. Królem łowów był pan Bielicki z pow. łęczyckiego.

W d. 23. grudnia warszawski oddział Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa urządził dla swoich członków polowanie na gruntach wsi Kocierzew i przyległych pod Łowiczem, należących do terenów myśliwskich dzierżawionych przez Oddział. W 25 strzelb ubito 70 zajęcy i 5 kuropatw.

Dnia 5 stycznia urządził Oddział drugie z rzędu polowanie na terenach myśliwskich, dzierżawionych przez oddział pod Łowiczem. W 25 strzelb ubito 53 zajęcy, 19 kuropatw i lisa.

Tegoż dnia polowano na 50 włókach u p. Zygmunta Radońskiego w Rzeżewie, w pow. włocławskim i w 12 strzelb ubito 222 zajęcy, 6 kuropatw i lisa. Królem łowów został p. Swyniarski z Warszawy.

Na polowaniu u p. Juliana Waliszewskiego w Lubieniu, w pow. włocławskim, 13-tu myśliwych ubiło 74 zajęcy i 10 kuropatw. Królem łowów był p. Witold Górski z Woli Adamowej, a po nim najcelniejsze strzały dawał p. Tytus Piwnicki z Czapel i Struży.

Dnia 21. grudnia, w dobrach p. Jana Łoskowskiego, Janowice, w pow. łęczyckim, 13 myśliwych, pomimo niepogody, ubiło w kilka godzin 70 zajęcy i 25 kuropatw. Najcelniejsze strzały, oprócz gospodarza, dawali pp. Aleksander Rossman i Józef Wilkoszewski. Niemiłe jednak wrażenie wywierał na myśliwych widok trzech kłusowników, krążących po sąsiednich polach włościańskich, celem zabierania postrzelonej i uchodzącej z kotłów łowieckich zwierzyny.

Tegoż dnia polowano w 18 strzelb u p. Tomasza Higersberga w Skrzanach, w pow. gostyńskim i ubito 68 zajęcy i 12 kuropatw. Królami łowów zostali pp. D. Komorowski z Sujek i Aleksander Higersberger z Chorzenia.

W dobrach p. Bogusławskiej, Rzadkiej Woli na Kujawach, mających 20 włók obszaru, odbyło się dnia 4. grudnia polowanie, na którem w 8 strzelb ubito 65 zajęcy i 12 kuropatw. Królem łowów był p. Z. Busse z Niegibalic.

Na polowaniu u p. Władysława Pruskiego w Lubaniu, w pow. nieszawskim, dnia 6. grudnia, w 18 strzelb ubito 125 zajęcy i 98 kuropatw. Królem łowów został p. Bolesław Pruski z Płonczyna w pow. rypińskim.

Dnia 10 grudnia w Rypczewicach (powiat krasnostawski) u pana Wład. Rembielińskiego, odbyło się polowanie *par force* na dzika. W przeddzień łowów dziki były objeżdżane w ostępach, nazajutrz zaś o godzinie 11 przed poł. naganka wyparła dziki na linię myśliwych i niebawem pojedynek został bardzo lekko raniony. Na odgłos trąbek myśliwych, za ranionym zwierzem ruszyła wnet zgraja psów, za którymi podążali szczwacze i dojeżdżacze. Myśliwi dosiedli koni i zaczęli *par force* ścigać odyńca. Po 5-ciu godzinach jazdy, przebywszy dobre 50 wiorst w skalistych wądołach nadnietrzańskich, wreszcie dopadnięto dzika i zakłuto kordelasami. Rozjuszony zwierz zdążył jednak przedtem rozerwać 3 psy, a kilkanaście sztuk gończych lekko okaleczyć. *Halali* odbyło się o zmroku. Późnym wieczorem, przy dźwiękach rogów myśliwskich, przywieziono trofea myśliwskie do pałacu. Służba strzelecka w barwach, niektóre konie i piękna sfora gończych pochodziły z dóbr hr. ordynata Zamoyskiego. Grono myśliwych składało się z kilku ziemian okolicznych, tudzież z kilku przedstawicieli warszawskiego *high-life'u*.

W Zelazkowie, w Kaliskiem, u p. Góreckiego w 20 strzelb ubito 140 zajęcy. Najwięcej sztuk zabił p. Karol Korycki.

W drugiej połowie listopada odbyło się pierwsze jesienne polowanie w majątku Kijany, w gub. lubelskiej. W ośm strzelb zabito 81 zajęcy, 40 bażantów, 2 lisy i 11 kuropatw.

W drugiej połowie listopada odbyła się serya dorocznych polowań w dobrach Kruszyna, będących własnością ks. Stefana Lubomirskiego (młodego). Polowano w 12 strzelb i zabito 1.520 zajęcy, 246 kuropatw, 129 bażantów, 21 królików, 2 rogacze, 1 lisa i 2 słonki. W polowaniach tych wzięli udział: Stefan, Władysław, Stanisław i Zdzisław ks. Lubomirscy, August hr. Potocki, p. Jerzy Fanshave, Tomasz hr. Zamoyski, p. Siemieński, p St. Lentz, Maciej ks. Radziwiłł, Jan hr. Zamoyski i Andrzej hr. Potocki.

Dnia 8. grudnia, w dobrach Sarnów pod Łodzią

odbyło się polowanie, w którem podług doniesienia „Lodz. Ztg“, wzięło udział mnóstwo myśliwych łódzkich. W 26 strzelb ubito 110 zajęcy, wiele kuropatw, znaczną liczbę cietrzewi i jedną sowę. Królem polowania ogłoszono p. Kazimierza Orzechowskiego, który zastrzelił 25 zajęcy, 15 kuropatw i 4 cietrzewie.

W ostatnich dwóch dniach roku 1897 i trzech następnych odbyły się polowania w dobrach Piętno, Rzymsko i nowo nabytych przez pana Ludwika Temlera z Warszawy majątkach. Polowanie w rozległych dobrach Piętno dzierżawi od lat paru p. Temler, a umiejętnem wielce i pełnem zamiłowania myśliwstwem, podniósł zwierzostan do wysokiego stopnia, czego dowodem następujący rezultat: Dwunastu myśliwych zabiło w ciągu tych kilku dni: 749 zajęcy, 76 kuropatw, 9 cietrzewi, 2 lisy, 4 rogacze, 89 bażantów i 13 królików, przyczem nadmienić należy, że do sarn, celem ochrony, oprócz w jednej części kniei na Piętnie, wcale nie strzelano. Polowanie odznaczało się wielkim porządkiem i umiejętnością prowadzenia, dzięki aranżerorowi i gospodarzowi tych łowów, który prócz tego przygotowywał dla swych gości coraz to nowe, niespodzianki, jak n. p. nader piękną cennego wielce pędzla paterę, przedstawiająca zające w krajobrazie zimowym, jako nagrodę dla króla polowania, której szczęśliwym zdobywcą został w pierwszych dwóch dniach polowania p. Stanisław Murzynowski z Kalinowej. W następnych dniach łowów królem był p. Zygmunt Golcz z Piętna. Między myśliwymi odznaczała się również celnemi strzałami bratowa gospodarza — pani Józefowa Temlerowa z Warszawy. Doskonała orkiestra uprzyjemniała cały czas pobytu gościom tak podczas polowania, jak i po balu, zachęcając niestrudzonych uczestników do ochoczych tanów do późnej nocy, pomimo że rano o 8-mej wszyscy jak jeden mąż stawali już pod bronią. Prawdziwe te gody łowieckie pozostaną na długo w najmilszej pamięci zebranych na nich myśliwych i gości.

W pierwszych dniach b. m. odbyło się polowanie w majątku Kijany, gub. lubelskiej. W 10 strzelb zabito 3 rogacze, 3 lisy, 74 zajęcy i 48 bażantów.

W majątku Podobłozie u p. Kazimierza Witkowskiego w 16 strzelb zabito 336 zajęcy, lisa, 2 kuropatwy i sowę. Królem polowaniabył p. Bronisław Ordęga z Trojanowa. Zwierzostan w tej miejscowości znacznie się polepszył. Na polowaniu przed trzema laty na tem samem terytoryum w kilka strzelb zabito zaledwie jednego zająca.

Wielkie polowanie odbyło się w dniach 9, 10 i 11 listopada w dobrach Walterskirchen u ks. Filipa Sachsen Koburg. W polowaniu brali udział hr. Wurmbrandt, hr. Vrints, baron Brunicki, baron Konrad i radca legacyjny br. Hammerstein. Ubito 2195 zajęcy, 41 królików, 19 bażantów, 41 kuropatw i 1 rogacza.

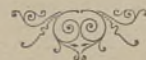
KRONIKA.

Hodowla czapli. Ilość czapli uległa ogromnemu zmniejszeniu się wskutek rozpowszechnionego zwyczaju używania ich piór przez panie na ozdoby, zwłaszcza z gatunków czapli białej i nadobnej (Ardea egretta i A. garzetta). Z portów jednej tylko Wenezueli wywieziono do Paryża w r. 1895 około 600 klgr. piór czapli białej. Ponieważ jeden ptak dostarcza 3—5 gr. piór ozdobnych, łatwo możemy obliczyć, ile to czapli padło ofiarą tej mody w ciągu jednego roku. Oprócz Wenezueli zasilają Paryż jeszcze Brazylia, Kolumbia, Paraguaj i Peruwia. Polowania na czaple połączone są z niebezpieczeństwem dla zdrowia, zwłaszcza w krajach zwrotnikowych, gdyż czaple gnieżdżą się na błotach, będących siedliskiem rozmaitych miazmiatów i niejeden myśliwy przepłacił życiem zdobycie ich piór. Mimo tego jednak ze względu na wielką zyskowność tych polowań, pozawiązywały się towarzystwa łowieckie, których działalność okazała się bardzo zgubną dla czapli. W Azyi Mniejszej i Persyi należą dziś one do rzadkich ptaków; w Chinach, Tonkinie, Indyach jest ich nieco więcej, w każdym razie jednak nie dużo; toż samo można powiedzieć o Europie i Egipcie, który niegdyś słynął ze swoich czapli. Wogóle cała Afryka dostarcza dziś ledwie 25 klg. rocznie. Jedynie Ameryka południowa, a w części i północna może zadosyć uczynić zapotrzebowaniom. Polowania na czaple w lianosach i błotnistych lasach Wenezueli miały przynosić w ostatnich latach lepsze zyski, niż poszukiwanie złota lub zbieranie kauczuku. Jestto, zapewne, jeden z powodów, dla których Anglia stara się dostać do Wenezueli. Znane są jeszcze w handlu tak zwane rosyjskie pióra czaple, pochodzące z Syberyi i Turkiestanu, są one jednak znacznie brzydsze od amerykańskich i z tego powodu mają mniejszą wartość.

Świetne wyniki hodowli strusi oraz łatwość oswajania się czapli dały zachętę do spróbowania, czyby i one nie dały się hodować. Pierwsze próby urządzono w roku 1895 w Tunisie z czaplą nadobną (A. garzetta). Kosztem 14.000 fr. urządzono rodzaj parku z drzewami, sadzawkami itp. i osadzono w nim 40 czapli Rozmnażają się one tam prawidłowo i dzisiaj jest ich 400 sztuk. Koszt utrzymania jednego ptaka wynosi 5 fr. rocznie, dochodu zaś każdy daje 35 fr. Oprócz tego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można je będzie hodować wprost na wolności tak, jak gołębie, gdyż i dzisiaj w bardzo wielu miejscowościach Ameryki południowej Indyanie trzymają różne ich gatunki wraz z ptactwem domowem. To samo można widzieć w Mezopotamii i Marokko, gdzie czaple przechadzają się razem z bydłem, które oczyszczają z robactwa.

Centrowne strzały uzyskać można przy nabojach śrutowych bardzo łatwo z każdej broni odtylcowej. Postępuje się w ten sposób. Robiąc naboje należy zaznaczyć dokładnie na zewnętrznej stronie gilzy, w którem miejscu jest przybitka oddzielająca proch od śrutu. Po zrobieniu naboju nożem ostrym okrawa się w miejscu zaznaczonem do około gilzę, lecz tak, by przybitki nie przekroić. Nabój taki w chwili eksplozyi rozdziela się i górna połowa wraz z śrutem wchodzi w lufę pchana siłą prochu. Śrut ściśnięty, wychodzi na zewnątrz zwartą masą, nie tracąc nic z impetu, przez ocieranie się o ściany lufy i sprawia nierównie większy efekt w uderzeniu. — Kto nie wierzy, niech spróbuje.

Od redakcyi. Redakcya „Łowca“ pracuje nad wydawnictwem obszernego słownika łowieckiego. Chcąc zaś słownik ów uczynić jak najdokładniejszym, zwracamy się do łaskawych czytelników „Łowca“, z prośbą, aby byli łaskawi nadesłać jej wyrażenia i przysłowia łowieckie używane tylko w danej okolicy lub też w gwarze ludowej. Listy upraszamy przesyłać do redakcyi „Łowca“ we Lwowie, plac Wacława Dąbrowskiego (Chorążczyzny) l. 1.



Łacina łowiecka.

Pana Prawdzickiego z Wymysłowic dziwne przygody.

(Ciąg dalszy).

Słyszeliście niezawodnie, moi Panowie, o św Hubercie, patronie myśliwych i strzelców, nie mniej też o pysznym jeleniu, którego on raz zoczył, a który krzyż pański między porożem miał. Temuż ś. Hubertowi składałem ja rok w rok ofiary w dobrem towarzystwie, a jelenia widywałem niemal tysiąc razy w kościołach odmalowanego, jako też w herbach jego rycerzy wyobrażonego tak, że — klnę się na słowo honoru i sumienność prawdziwego myśliwego — powiedzieć nie mogę, ażali jelenie także z krzyżem tylko przed laty bywały, albo też jeszcze po dziś dzień są. Lecz nie chcę się tak daleko zapuszczać, raczej Wam opowiem, com na własne oczy widział. Razu jednego, kiedym już wszystek ołów wystrzelał i żadnej zdobyczy nie spodziewał się, wymknął się jeleń w świecie najpyszniejszy. Spojrzał mi w oczy tak śmiało i niewinnie zarazem, jakby z pamięci wiedział, że w torbie mojej sucha fara. W mgnieniu atoli nabijam strzelbę prochem a nań sypię garść pestek wisienkowych, z których, ile to w pośpiechu uczynić się dało, skórki ściągnąłem. A tak jelenia pełnym nabojem w sam środek czoła między poroże plunąłem. Strzał odurzył go wprawdzie, jeleń się potoczył, ale wnet odzyskał przytomność i zemknął. W rok czy dwa lata potem wyszedłem na polowanie do tegoż samego lasu, i ot! zja-

wia się jeleń pyszny z najmniej do dziesięciu stóp wyrosłą wiśnią między porożem. Zaraz przypomniała mi się dawna przygoda; uważałem jelenia za moją niecodbitą i już dawno nabytą własność i jednym strzałem na ziemię go powaliłem. A tak przyszedłem sposobem naturalnym do pieczeni i sosu wiśniowego zarazem, gdyż na drzewie wisiały gęsto wisienki tak smaczne, jakich jeszcze w życiu nie jadłem. Któż mi teraz powie czy też czasem jaki pasjonowany strzelec, jaki opat może jeleniowi ś. Huberta krzyża w podobny sposób jednym strzałem nie zasadził? W razie potrzeby, kiedy ważne zajdzie pytanie: strzelać albo nie strzelać, mieć albo niemieć, co, nawiasowo mówiąc, nieraz się strzelcowi przydarzy, chwyci się ostatni wszystkiego w świecie, by tylko szczęściu nie dać się przemknąć popod nogi. Ja uległem nieraz podobnej pokusie.

Cóż na przykład powiecie, jeżeli wam następujący przypadek opowiem? — W jednej puszczy, gdzie światło dzienne skąpo się przedzierało, wypotrzebowałem wszystek proch. Kiedym do domu wracał zastąpiło mi drogę ogromne niedźwiedzisko z rozwartą paszczą, zapewne w nie najlepszym zamiarze. Napróżno szukałem w pośpiechu po kieszeniach prochu i ołowiu. Czegoć nie było, tegoć nie znalazłem; dobrze jednak, że miałem dwie skałki, które zwykle na przypadek potrzeby ze sobą biorę. Owoż jedną z tych skałek rzuciłem w rozwartą paszczę okrutnika, w głąb gardzieli jego. Niedźwiedź, któremu to snadź nieprzyjemnem było, zrobił zwrot, jakby na komendę, a ja tymczasem drugą skałkę w jego furtę tylną rzuciłem. Wszystko się dziwnie pięknie udało. Skałka nietylko wpadła w miejsce przeznaczenia, ale nadto z drugą prreciwbiegłą tak się zetknęła, że ogień się skrzesał i niedźwiedzia wśród huku gwałtownego na kawały rozerwał. Twierdzą, że tak doskonale wymierzony kamień a posteriori, zwłaszcza gdy tenże z drugim a priori należycie się zetknie, już nie jednego, jak niedźwiedź, zawziętego uczonego i filozofa w powietrze wysadził. Jakkolwiek wtedy z całą skórą uszedłem, nie chciałbym jednak powtórzyć tego po raz drugi, lub kiedykolwiek, będąc bez środków odpornych, z niedźwiedziem zadrzeć.

Zdawało się, jakoby to przeznaczeniem mojem było, że mnie najdziksze i najniebezpieczniejsze zwierzęta wtedy właśnie napadały, kiedym nie był przysposobiony do stawienia im czoła, jakgdyby onym pewny instynkt bezbronność moją zdradzał. I tak razu jednego odjąłem właśnie skałkę od strzelby, chcąc ją nieco zaostrzyć, gdy naraz niedźwiedź, a niedźwiedź nie lada, pomrukiem do mnie zagadnął. Nic mi wtedy nie pozostawało, jedno wedrzeć się na drzewo i tam się do obrony przysposobić. Na nieszczęście atoli wypadł mi podczas wdzierania się na drzewo nóż, któregom co tylko potrzebował, i w tej chwili nic nie miałem, czembym mógł śrubkę i tak ciężko kręcić się dającą umocować. Pod drzewem stał niedźwiedź; z każdą chwilą musiałem oczekiwać, że za moim nagannym pójdzie przykładem. (C. d. n.)

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.